

4 lata nadziei, 40 lat smutku

Złote obietnice

Nova Aurum. Nazwa brzmiała jak obietnica, ale tylko dla tych, którzy nie nauczyli się, że obietnice rzadko się spełniają. „Nowy początek, lepsza przyszłość, złote możliwości” – powtarzały reklamy na Ziemi, gdzie zdrowego powietrza i przestrzeni było mniej niż ludzi. Beznadzieja ogarniała każdego. Kredyt na bilet? Formalność. Pierwsze raty pokrywała korporacja AurumCorp, resztę – jak zapewniali – „spłacisz na miejscu, w warunkach dostosowanych do twoich możliwości”.

Z orbity Nova Aurum oszukiwała oczy. Niebieskie tafle jezior, zielonkawe stepy, pustynie wielkie jak oceany, przyjemna atmosfera, ciepło. Raj? Dopóki nie wylądowałeś. Wtedy wszystko stawało się jasne. Obóz otoczony płotem, drut żyłkowy na szczycie, baraki ułożone w równych rzędach jak groby bez krzyży. Skąd ta ostrożność? Co miały powstrzymać te zabezpieczenia?

Ludzie AurumCorp w kremowych mundurach mówili jednym głosem: „Podpisz tu, tu i tu. Kamera to twój paszport i twoja tarcza. Zgubisz – kara. Nie nosisz – kara. Zasady są proste: znajdziesz złoto – dostaniesz premię. Nie znajdziesz – spłacasz bilet pracą”.

Kamery na głowie były jak dodatkowy zmysł, ale nie twój. Ich. Nikt nie był sam, nikt nie miał prawa do zapomnienia. Każdy ruch rejestrowany, każdy grymas prześwietlany przez algorytmy. To nie była praca – to był wyrok.

Na powierzchni – wykrywacze metalu i roboty kopiące. Pod ziemią – korytarze tak wąskie, że śmierć zaglądała w oczy co dzień, czekając, aż ktoś źle postawi stopę. Każdy nowy transport osiedleńców stawał się brygadą wydobywców. Każdy wydobywca – cieniem człowieka.

„Tutaj masz co jeść”, mówił Józef, weteran kopalń. „Tam odstrzelą ci łeb za suchą skórkę chleba”.

Tam – na północy – byli oni. Szajka Złotych Cieni. Buntownicy, złodzieje, cienie przemykające przez pustkowia. Vega, ich przywódca, miał cel: uwolnić tyłu, ilu zdoła. Odebrać korporacji monopol na życie.

Dla jednych bohaterowie, dla innych – zwykli bandyci. Obóz milczał. Żyli w rytmie korporacyjnych rozkazów, bo milczenie oznaczało pełną miskę.

Aż do dnia, gdy Ewa znalazła złoto.

Bryła wielkości pięści. Kamera uchwyciła jej wahanie. Premia oznaczała przywileje, może mniejszy dług do spłacenia, może lepszą rację żywnościową. Może.

A może...

Vega oglądał nagranie w jednej z jaskiń Araratu - góry przeznaczenia, w której Szajka znalazła swoją kryjówkę. Obraz drżał, odbijał się w jego oczach. Ile jeszcze? Ile jeszcze, zanim ludzie przestaną wybierać wygodę zamiast życia?

W obozie rebeliantów mieli technologię. Za mało, żeby wygrać. Wystarczająco, żeby patrzeć. Czasem udawało im się przeniknąć do systemu. Czasem coś popsuć.

Ale wciąż czekali – aż ludzie przestaną się bać.

Czekali na kogoś, kto pierwszy przekroczy linię.

Ewa ścisnęła samorodek.

Kamera patrzyła.

System czekał na jej decyzję.

Złote Klatki na Nieznanym Globie

Dzielnica Nova Eterna, wciśnięta między opustoszałe budynki metropolii Rio-Europa, była jak miraż. Holograficzne reklamy pulsowały w powietrzu, obiecując nowy początek, lepsze życie, drugą szansę na planecie Nova Aurum.

„Kredyt na podróż kosmiczną z zerowym oprocentowaniem! Stań się częścią nowego świata!” – krzyczały billboardy, ich jaskrawe barwy odbijały się w kałużach na wyludnionych ulicach.

Planeta Nova Aurum. Tylko cztery lata świetlne od Ziemi-1. Wystarczająco blisko, by wydawać się w zasięgu ręki. Wystarczająco daleko, by nikt nie wracał. Dla tłumów skazanych na życie w zawieszeniu, bez pracy, bez przyszłości, bilet w jedną stronę był jedyną realną opcją. Średni czas oczekiwania na zatrudnienie w ich sektorze? Trzy dekady.

Pierwszy dzień na Nova Aurum

Leonie siedział w kopalnianej kantine, sącząc gorzką kawę o plastikowym posmaku. Na ekranie przed nim przewijały się nagrania z kamer innych górników – „Złote Oczy”, jak nazywała je korporacja.

„To dla twojego bezpieczeństwa” – mówił koordynator zmiany, kiedy wciskał mu urządzenie na głowę. – **„Dzięki temu masz dowód, że pracujesz uczciwie. Możesz też gratulować kolegom ich znalezisk. To motywuje do wydajniejszej pracy.”**

Tylko że **Oczy** były kagańcem, nie tarczą. Leonie już to czuł. Każdy ruch śledzony, każde znalezisko rejestrowane. Jego życie przestało należeć do niego.

— **Nie wytrzymasz tu długo** — rzucił ktoś zza stołu. Był to stary górnik, szorstki jak ściany tuneli. — **Przyzwyczaj się albo umrzesz. To jest** — **„uciekiesz do rebeliantów”, ma się rozumieć.** — dodał, krzywiąc się w uśmiechu, który nie miał w sobie nic z radości.

Głębia w sercu skał

Pod ziemią panowała cisza. Ale to nie była cisza, która koi. Światło fluorescencyjnych lamp rzucało zimne refleksy na metalowe ściany tuneli. Detektory metalu co jakiś czas przebijały ten spokój ostrym, przenikliwym sygnałem.

Kiedy Leonie po raz pierwszy znalazł samorodek, przez jego ciało przebiegł impuls — mieszanek dumy i strachu. Kamera już to widziała. Algorytmy już to przetwarzały. Korporacja już wiedziała.

— **Znalazłeś coś większego niż twoja pensja za trzy lata** — mruknął ktoś obok. — **Nie martw się. Korporacja zadba, żebyś nie był zbyt bogaty.**

Cień Wolności

Wieczorami, gdy mleczne światło lamp zalewało ciasne baraki, powracały opowieści o zbiegach. Ludzie mówili, że kiedyś byli górnikami, zwykłymi pracownikami, ale porzucili korporacyjne więzy i uciekli w góry. Teraz tworzyli własny świat. Bez nadzorców. Bez kamer. Mieli broń, mieli spryt. I mieli złoto.

Ale nie mieli pieniędzy. Nie potrzebowali ich. Mówiono, że zabijali każdego, kto próbował handlować, dorabiać się na spekulacji. Dla nich korporacyjne zasady były źródłem upadku ludzkości. W ich świecie były zakazane. Ich świat rządził się innym prawem.

— „**Nie mają lekarzy ani jedzenia.**” — drwił nadzorca podczas rutynowego przemówienia motywacyjnego. — „Ale jeśli chcecie skończyć z kulą w głowie za kromkę chleba, droga wolna.”

A jednak ludzie wciąż marzyli o ucieczce. Dylemat był prosty. **Złota klatka, jedzenie i opieka medyczna... albo skok w nieznanne.**

Decyzja Leoniego

Leonie po raz pierwszy zrozumiał, że Nova Aurum było więzieniem, gdy zobaczył, jak jego kolega próbował ukryć drobny samorodek. Strażnicze roboty pojawiły się natychmiast. Zabrano go. Nigdy więcej nikt go nie widział.

Tej nocy, gdy w barakach gasły światła, ktoś szepnął do jego ucha:

— „**Wiem, co myślisz.**”

Postać przemykała między cieniami rzucanymi przez bryły robotów kopiących ustawionych w szeregu jak terakotowa armia – cichych i czekających na sygnał do ataku. Głos był spokojny.

— „**Masz kamerę na głowie, ale algorytm nie analizuje snów. Jeśli chcesz wolności, jutro o północy idź do tunelu F-12.**”

Na Krawędzi

Tunel był ciemny. Kamera po raz pierwszy od miesiąca milczała. Powietrze pachniało skałami. I czymś jeszcze. Wilgocią? Wolnością? Strachem?

— „**To twoja jedyna szansa.**” — wysłanniczka rebeliantów spojrzała na niego uważnie. — „**Ale pamiętaj, co zostawiasz za sobą.**”

Leonie zerknął w głąb tunelu. Tam była wolność.

Odwrócił się. Daleko, na końcu korytarza, czekał powrót. Do pracy. Do jedzenia.

„**Tu masz co jeść.**” — przypomniał sobie słowa starego górnika.

„**Tam mogą ci odstrzelić łeb za spleśniały chleb.**” — mówił nadzorca.

Czy wolność była tego warta? Zawahał się.

Nazajutrz był na swoim stanowisku w szybie B42.

Ironia Ziemi-2

Ziemia-1 była umierającym światem. Nie nagle – powoli, metodycznie, jak gasnący neon w opuszczonym mieście, którego nikt nie chce naprawić. Technologia, zamiast wyzwalać, zamykała ludzi w coraz ciasniejszych klatkach. W teorii system gospodarczy miał służyć wszystkim. W praktyce służył akcjonariuszom spędzającym dni i noce przed ekranami pełnymi korporacyjnych wykresów. Akcjonariusze żądali wzrostu. Więcej. Szybciej. Taniej.

Przez lata chciwość napędzała gospodarkę, aż doprowadziła ją do punktu, w którym nic już nie działało. Historia знаła ten mechanizm. Wyspa Wielkanocna. Starożytny Rzym. Przestrzegano przed tym, ale nikt nie słuchał, bo wszyscy byli zajęci kolejną premierą mobilnego przekaziora.

Kiedy nadeszła stagnacja, rządy nie wymyśliły nic nowego. Straszły pandemią, która nigdy nie nadeszła – albo była tak łagodna, że nikt jej nie zauważył. W zamian przyszła nuda – długie kolejki po żywność, puste sklepy, świat bez perspektyw.

I wtedy pojawiła się Ziemia-2.

Nie wymagało to nawet wielkiego oszustwa. Ludzie byli zbyt wyczerpani walką o przetrwanie, by kwestionować cokolwiek. Czteroletnia podróż w kosmos w zamian za nowy początek? Brzmiało jak szansa, jak coś lepszego niż powolne umieranie w slumsach Nowego Jorku, gdzie menu bezrobotnego składało się z pulpetów sojowych i chleba z mąki owadziej. Wybór wydawał się oczywisty.

Podpisywali kredyt, sprzedawali resztki swojego dotychczasowego życia i ruszali w podróż.

Nowy Świat, Stare Zasady

Ale Ziemia-2 nie była ratunkiem. Była cynicznym mirażem rodem z hollywoodzkich produkcji science fiction. Sztucznie rozdmuchaną fantazją o ucieczce i nowych możliwościach, w której jedyną nowością był krajobraz – nie pustynie pełne odpadów i smog, lecz pył i surowe, skaliste pustkowia, w których porzrucane były samorodki złota.

Zamienili bezrobocie na niewolniczą pracę i odrobinę wygód.

Kredyt na podróż okazywał się obrożą. Kopalnie złota – nowoczesną wersją folwarku. Kiedy na Ziemi panował feudalny dwór – był bankiem, sklepem, szpitalem i więzieniem w jednym.

Na Ziemi-2 jego rolę przejęły korporacje, oferujące złudzenie wyboru tam, gdzie go nie było. Jedyne różnica? Na folwarku chłop mógł rzucić wszystko i zniknąć w Dzikich Polach lub ruszyć dalej w świat. Tutaj – nawet nadzieja na ucieczkę była iluzją.

Tutaj - nie było, dokąd uciekać.

Na Ziemi-1 bezrobotny mógł włączyć się od punktu pomocy społecznej do punktu pomocy społecznej, spędzać noce pod mostem albo na plaży, czekając, aż ktoś wymyśli dla niego nową ideologię. Na Ziemi-2 problem bezrobocia nie istniał. Każdy miał swój przydział. Pryczę. Racje żywnościowe. Plan dnia zapisany w systemie.

Przynajmniej nie było chleba z robaków.

Przynajmniej byli lekarze.

Przynajmniej nikt nie marzył w ruinach.

I może właśnie dlatego tak niewielu zdecydowało się na ucieczkę. Bo choć życie na Ziemi-2 było klatką, to przynajmniej w tej klatce był ciepły kąt i pełna miska. A poza nią?

„Tam mogą ci odstrzelić łeb za kromkę spleśniałego chleba.”

Tak mawiali górnicy.

I może mieli rację.

Cztery lata nadziei, czterdzieści lat smutku

John miał 32 lata, gdy wsiadł na pokład statku lecącego do Ziemi-2. Był chłopakiem z Bronxu, jednym z wielu, których życie w Nowym Jorku sprowadziło się do bezrobocia, pustych żołądków i codziennej walki o przetrwanie. Kiedyś miasto było symbolem marzeń i ambicji, ale tamte dni minęły bezpowrotnie. W zimowe noce patrzył przez oszronione okno swojego dormitorium na ulice skryte pod śniegiem – martwe, ciche, niemal nierzeczywiste. Dawniej przechadzali się tam turyści z kawą w jednej ręce i pączkiem w drugiej. Teraz leżały ciała.

– Widziałem rzeczy, których nikt nie powinien oglądać – wspominał John. – Ciała znikwały z ulic, ale nie dlatego, że ktoś je grzebał. Zabierali je wygłodniały ludzie

Przerażenie i głód odebrały światu ostatnie resztki moralności. Policja już dawno przestała interweniować. Ale nawet w tej beznadziei byli tacy, którzy walczyli o godność. Grupy ochotników patrolowały ulice, zbierając zamrożonych, by chować ich w masowych grobach – byle tylko nie trafili do garnków desperatów.

John był pewien, że chaos został zaplanowany. Przekonywał, że za wszystkim stało lobby farmaceutyczne, które wymusiło na rządach radykalne rozwiązania. Status bezrobotnego – a co za tym idzie, prawo do talonu na żywność – otrzymywał tylko ten, kto przyjął najnowszą szczepionkę. Nowy szczep ospy prawdziwej zbierał swoje żniwo, a eksperymentalna surowica miała go powstrzymać.

– Ludzie, którzy jej nie przyjęli, umierali w męczarniach – mówił. – Ale ci, którzy ją przyjęli... płacili inną cenę.

Cena uciezki

John przyjął szczepionkę SMART – nie miał wyboru. Była warunkiem uzyskania statusu emigranta i jedyną szansą na bilet do nowego świata. Gdy statek wylądował na Ziemi-2, nowoprzybyli natychmiast poddawani byli szeregowi testów: kompleksowym badaniom medycznym, ocenie ich zdolności do pracy oraz analizie zdolności reprodukcyjnych. Wyniki Johna były druzgocące.

Szczepionka uczyniła go bezpłodnym.

– Ironia losu – mówił z goryczą. – SMART... „sprytna” nazwa, a w rzeczywistości to była zwykła metoda kontroli populacji. Zabrali mi szansę na rodzinę, na potomstwo.

Kolonia miała być nowym początkiem, obietnicą lepszego życia. Tymczasem rzeczywistość okazała się brutalnym rozczarowaniem. Nie było tam otwartych przestrzeni, czystego powietrza ani nowych możliwości. Zamiast otwartych przestrzeni – kopalnie. Stalowe korytarze ciasne jak trumny, wszechobecny pył dławiący płuca, monotonia, w której dni zlewały się w niekończący się ciąg harówki.

– Na Ziemi, choć było źle, mogłem przynajmniej wyjść nad zatokę, popatrzeć na wieloryby i pomarzyć. Tutaj nie ma oceanów. Są tylko szyby wydobywcze i czterdzieści lat tyrania, żeby spłacić dług za podróż.

Wielu, tak jak on, połknęło haczyk obietnicy nowego początku. Zamiast wolności dostali kajdany – nie z metalu, lecz z długu, który zmuszał ich do wiecznej pracy w kopalniach. John jednak starał się dostrzegać blaski swojego położenia. Nie narzekał. Jego opowieść bardziej przypominała historię z dawnych lat. Wyrażała nostalgię za minionym czasem, który rozmył cały jego ból i gniew.

– Przynajmniej mam co jeść – powiedział, wzruszając ramionami. – Na Ziemi mogli odstrzelić mi łeb za kromkę spleśniałego chleba.

– Ironia losu – parsknął. – Tak jest na każdej kupie kosmicznego gruzu, na której człowiek postawił stopę. I zawsze stoi za tym ta sama banda. Korporacje.

Alan, jeden z nowych rekrutów, autochton wychowany w sektorze rozwoju populacji, spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Ale kto niby miałby ci tu odstrzelić łeb? – zapytał. – Przecież wszyscy pracujemy pod nadzorem AI, a jedzenie dostajemy trzy razy dziennie. I to całkiem niezłe.

John uśmiechnął się.

– To ty nie wiesz? – nachylił się bliżej i ściszył głos. – Istnieje grupa zbiegów. Ludzie, którzy postanowili żyć poza systemem kopalni. Uciekli, ukrywają się w jaskiniach w górach niedaleko kompleksu. Są ścigani, ale wciąż tam są. Nic więcej nie mogę powiedzieć.

Podniósł wskazujący palec i spojrzał w górę. Alan podążył za jego wzrokiem.

Na suficie, w centrum pomieszczenia, wisiała biała, półkolistą lampa, emitująca mlecznobiałe światło. Szpitalny blask rozlewał się po ścianach, zimny, sterylny, obojętny.

Prawda czy paranoja?

– Już i tak miałem przez to nieprzyjemności – westchnął starszy górnik. – Karne odsetki, wezwanie na dywanik do dyrektora poprawności informacyjnej... Wy, młodzi, jesteście zbyt podatni na indoktrynację, a kierownictwo pilnuje każdego słowa. Trzeba uważać, co się mówi i komu.

Spojrzał na Alana z cieniem rezygnacji w oczach.

– Starsi traktują mnie jak wariata, bo ciągle gadam o tej szczepionce. Mówią, że przesadzam, że to była zwykła loteria reprodukcyjna. Jedni mieli szczęście, inni – jak ja – przegrali. Ci, których geny się nadawały, zostali rodzicami przyszłych pokoleń kolonii. Ba, niektórzy nawet dostali przywilej spotykania się z matkami swoich dzieci kilka razy w roku. Tyle że to kosztuje.

Alan zmarszczył brwi, a w jego oczach pojawiła się iskra niepokoju. – Kosztuje?

– Oczywiście – prychnął górnik. – Każde spotkanie bez służbowego uzasadnienia podlega opłacie. A skoro można zapłacić, to można też oszczędzać. Taniej jest korzystać z robotów. Wiesz, wielu już przed przybyciem tutaj nauczyło się, że to tańsza namiastka bliskości.

Zapadła chwila milczenia. W oddali słychać było przytłumiony stukot maszyn wentylacyjnych.

– Ale to nie jest najważniejsze – podjął zniżonym głosem. – Ważne jest to, skąd uciekłem i dokąd trafiłem. Ziemia-1 była piekłem, ale tutaj... tutaj piekło jest po prostu inaczej zorganizowane. Mamy jedzenie, możemy rozwijać swoje pasje – malować, grać w szachy, żonglować, czytać starożytnych filozofów. Tworzymy nowy świat, tylko że... na warunkach Korporacji.

Ściszył głos jeszcze bardziej i ścisnął Alana za ramię.

– Tam, na Ziemi, koncerny farmaceutyczne nie były zwykłymi firmami – były imperiami. Każdego roku przejmowały kolejne sektory życia, aż stały się cichymi władcami świata. W końcu dopięły swego – rządy zwolniły je z odpowiedzialności za skutki uboczne ich preparatów, jeśli tylko sytuacja wymagała „wyższej konieczności”.

Alan słuchał w napięciu, jego oddech spłycał się, a ręce mimowolnie zacisnęły w pięści.

– Mam teorię – kontynuował górnik. – Dodawali coś do tych szczepionek. Nieprzypadkowo niektórzy stracili zdolności reprodukcyjne. Oficjalnie? „Efekty uboczne na poziomie genetycznym”. Ale powiedz mi...

Nachylił się jeszcze bliżej.

– Widziałeś kiedyś na własne oczy mRNA? Wirusa? Molekułę? Atom?

Alan milczał. Górnik uśmiechnął się gorzko.

– No właśnie. Oni są mistrzami sofistyki. Potrafią wytłumaczyć każde świństwo, jakie popełnią, owinać je w piękne słowa i sprzedać jako „konieczność”. Wiem, wiem... – machnął ręką. – Jestem tylko starym, stukniętym teoretykiem spiskowym, który znajduje się miliony kilometrów od źródła problemu. Nie wiem nawet, jakie nowe kłamstwa serwują teraz w waszych przekaziorach...

Przez chwilę patrzył gdzieś w dal, jakby ważył słowa. A potem spojrzał Alanowi prosto w oczy.

– Ale powiem ci, chłopcze, jak to wszystko się zaczęło... a niech mnie zamkną! – Stary górnik uniósł swoją siwą głowę, popatrzył na lampę, która nadal świeciła jasnoniebieskim światłem i pogroził jej zaciśniętą pięścią.

Galaktyczne Dziewice i wirusologiczny wyścig zbrojeń

Górnik już się nie krępował i z zapalem w oczach zaczął swoją dość przydługą opowieść. - Na Ziemi-1 istniały dwa laboratoria przechowujące szczepy wirusa ospy prawdziwej – choroby, którą wyeliminowano do końca lat 70. XX wieku. Oficjalnie ich istnienie było zabezpieczeniem na wypadek pojawienia się nowego, groźniejszego wariantu, który mógłby uderzyć w populację pozbawioną odporności. Ich zadaniem było opracowanie nowej szczepionki, jeśli kiedykolwiek zaszłaby taka potrzeba.

Problem w tym, że laboratoria te znajdowały się w dwóch wrogich sobie krajach – w Stanach Zjednoczonych i Rosji.

Kiedy wybuchła Wielka Wojna, nikt nie myślał o użyciu broni atomowej. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że setki eksplozji nuklearnych zniszczyłyby Ziemię do tego stopnia, że nie zostałyby nic do przejęcia. Zamiast tego uznano, że najgroźniejszą przeszkodą w drodze do globalnej hegemonii są zdrowi obywatele przeciwnika. Aby wygrać konieczne było osłabienie zdrowia populacji antagonistycznego kraju. Tak rozpoczął się wirusologiczny wyścig zbrojeń, w którym zyskiwał trzeci gracz – koncerny farmaceutyczne.

Z jednej strony wojsko zamawiało jak najbardziej śmiertelne szczepy wirusów, z drugiej – środki zaradcze, dostępne tylko dla własnych obywateli. Wygraliśmy ten wyścig, zdobywając przewagę biologiczną. Ale jakim kosztem?

Pogłębiający się kryzys doprowadził do anarchii i ekstremalnych form przetrwania, w tym przypadków kanibalizmu.

A potem przyszła decyzja o ucieczce – jak najszybszym opuszczeniu umierającej planety. Za wszelką cenę.

Każdy z nas jako dziecko wyobrażał sobie kosmiczne podróże jak z powieści science fiction pisanych w XX i XXI wieku – ekscytujące, pełne przygód, technologicznych cudów i eksploracji nowych światów.

Rzeczywistość? Byliśmy pierwszym rzutem kolonistów.

Polecieliśmy w 300-metrowym statku o tonażu 45 megaton, z powłoką tytanową. Przed wejściem na pokład przeszliśmy testy na klaustrofobię, deprywację sensoryczną i wydolność ogólnoustrojową – sprawdzano, czy nasze organizmy wytrzymają cztery lata przyjmowania chemicznych spowalniaczy metabolizmu, przymus żywienia dożylnego i całkowity brak grawitacji. Wtedy uznano, że sztuczna grawitacja to luksus, na który nie było miejsca w budżecie.

Naszą podróż sfinansował globalny podatek kosmiczny, ale obejmował on wyłącznie budowę infrastruktury. Statki nazwano **Galaktycznymi Dziewicami** – od firmy, która zbankrutowała w latach 30. XXI wieku, próbując skolonizować Marsa. Wysłała tam jeden statek z niezamieszkałą bazą dla trzydziestu ludzi.

Idealna nazwa dla projektu, który za wszelką cenę miał zakończyć się sukcesem.

Ja nazwałbym je **Galaktycznymi Żelaznymi Dziewicami** – jak średniowieczne Żelazne Dziewice z sal tortur. Bo w istocie tym właśnie były.

Na barkach pionierów

Na policzkach Alana pojawiły się wypieki. A w jego umyśle zaczęły pojawiać się pytania. Kto ma rację? Czy to może być prawda? Nigdy nie słyszał, aby Wielka Wojna kiedykolwiek wybuchła na Ziemi-1. O jakiej pandemii mówi ten starzec?

- Nikt nie wiedział – górnik mówił dalej, czy ktokolwiek dotrze na Ziemię-2 żywy. Ale na starej Ziemi nie było już życia. Podróż reklamowano jako triumf ludzkiej technologii, największe osiągnięcie cywilizacji. **Podróż życia**. Nikt jednak nie mówił o tych, którzy nie przetrwali. Statystyki istniały, ale tylko w zamkniętych bazach danych Korporacji. Nawet Rząd Światowy nie miał do nich dostępu.

Nie przeszkadzało mu to. Jego urzędnicy wyznawali jedną zasadę: **im mniej wiesz, tym lepiej śpisz**.

Z siedemdziesiątego piątego piętra wieżowców nie widać martwych ciał niezaszczepionych biedaków, gnijących na ulicach. Nie czuć smrodu rozkładu. Nie słychać jęków umierających. **To proste i logiczne**.

Logika **informacyjnej poprawności**.

Nie zadawaj pytań. Są wytyczne. Wystarczy przeczytać poranny okólnik wygenerowany przez SI.

Zbiorowe rozmycie odpowiedzialności.

Strażnik pilnuje więźniów, chemik projektuje wegańską otoczkę dla szczepionki, biotechnolog izoluje DNA nowego wirusa – każdy wykonuje swoją rolę, nie zadając pytań. Ktoś inny wstrzykuje nowy wariant wirusa myszom i zapisuje reakcję ich małych i niewinnych organizmów godzina po godzinie.

Nikt nie zauważa, że tuż obok największego laboratorium biotechnologicznego świata funkcjonuje targ rybny – **wylęgarnia bakterii i wirusów nowego typu.**

A potem nadchodzi katastrofa.

A potem wszyscy szukają remedium.

A potem pojawia się kwestia finansów publicznych, standardów sanitarnych – i wszystko musi się zgadzać.

To były czasy mojej młodości. XXI wiek.

Dziś mówi się, że to przeszłość – że populacja się ustabilizowała, a ludzie mogą myśleć globalnie i działać lokalnie. Możemy się cieszyć – wieloryby przeżyły. Ale czy naprawdę coś się zmieniło?

My, pokolenie drugiej połowy XXI wieku, byliśmy **sterroryzowani.**

Chcieli nas wysterylizować.

Chcieli nas zabić szczepionkami.

A jeśli nie zrobił tego wirus z wojskowych laboratoriów – wysyłali nas w kosmos. **Po kosztach.**

I tak wylądowaliśmy w metalowej trumnie wielkości biurowca, dryfującej przez pustkę.

Każdy dzień mógł być naszym ostatnim. Nawet najmniejszy odłamek skalny, niewidoczny dla ubogiej elektroniki statku, mógł przebić cienką warstwę tytanu.

Gdy wchodziliśmy w strefy większych obiektów, redukowaliśmy prędkość do zera i **dryfowaliśmy.**

Skały wielkości Manhattanu przemykały obok nas jak śmiertcionośne satelity. **Łupina, którą nazywaliśmy statkiem kosmicznym, była bardziej kosmicznym U-Bootem.**

Łódką Krzysztofa Kolumba rzuconą w nieznane.

Pod wpływem środków spowalniających metabolizm byliśmy półprzytomni, zagubieni w nierzeczywistości tej kosmicznej pustki, która miała nas przenieść do nowego świata.

– Dzisiaj macie lepiej. Ale tu nie jest lepiej – Korporacja buduje swój własny Nowy Wspaniały Świat. Na barkach pionierów. Takich jak ja. Takich jak my wszyscy.

Biblioteka w mroku

Alan wstrzymał oddech i raz jeszcze zerknął za siebie. Mrok pomieszczenia wydawał się pulsować w rytm migotania ekranu starego terminala. Wiedział, że jeśli ktoś go przyłapie, przepadnie bez śladu. Jeszcze jeden górnik, który „zaginął w szybie”.

Wprowadził kod deszyfrujący. To była legenda, którą przekazywano sobie w szeptach: ukryta warstwa Biblioteki Cyfrowej Korporacji, „Wolna Encyklopedia Ziemi-2”. Zbiór

zakazanej wiedzy, spisanej przez tych, którzy zrozumieli, że system nie opiera się na prawdzie, lecz na jej braku.

Ekran rozjarzył się mlecznym światłem. Seria komunikatów przeleciała przed jego oczami, aż wreszcie pojawił się pierwszy wpis. Alan zmarszczył brwi.

„Roboty amoryczne: Historia i zastosowanie.”

Czuł, jak zimny pot spływa mu po plecach, choć nie wiedział, czy to ze strachu, czy z czegoś innego – instynktownego przeczucia, że dotknął czegoś, co miało pozostać ukryte.

Pierwsze wersy były suche, techniczne: roboty te stworzono pierwotnie dla więźniów na Ziemi-1. Oficjalnie miały redukować przemoc seksualną wśród osadzonych i wspomagać ich resocjalizację. Z czasem technologia ewoluowała, dostosowując maszyny do potrzeb społeczeństwa – lub raczej tych, którzy tym społeczeństwem zarządzali - pomyślał.

Ziemia-2 była odizolowaną kolonią – miejscem ciężkiej pracy i pustych korytarzy baraków, gdzie samotność górników była równie wszechobecna jak pył w ich płucach. Korporacja doskonale zdawała sobie z tego sprawę. I wiedziała, jak to wykorzystać.

Gdzieś w połowie artykułu Alan natrafił na akapit, który zmroził mu krew w żyłach:

„Powszechne wprowadzenie robotów amorycznych w kompleksach górniczych znacząco ograniczyło problem nieautoryzowanego rozmnażania. Badania wykazały, że dzięki nim instynkty reprodukcyjne pracowników zostały przekierowane na kontrolowane, bezpieczne kanały, co skutkowało lepszą wydajnością i redukcją napięć społecznych.”

Alan poczuł ścisk w żołądku. Wszystko zaczęło układać się w logiczną całość. Oficjalne dane mówiły o naturalnym spadku płodności wśród kolonistów, o mutacjach, chorobach, promieniowaniu. W rzeczywistości Korporacja nie tylko kontrolowała ich ciała, ale także ich najbardziej pierwotne instynkty.

Czytał dalej.

Roboty nie były tylko kawałkiem ciepłego biomateriału do złudzenia przypominającego ludzkie ciało. Ich wygląd i osobowość dostosowywano na podstawie szeroko zakrojonych badań psychologicznych, a nawet inspirując się postaciami z popkultury. Alan natrafił na sekcję o kontraktach z celebrytkami, które sprzedawały swój wizerunek, by ich repliki mogły towarzyszyć milionom górników na odległych planetach.

Zacisnął pięści.

To nie była troska o zdrowie psychiczne, lecz zaprogramowane uzależnienie – tłumienie potrzeby bliskości w zamian za syntetyczne substytuty.

System, który sprowadzał człowieka do zestawu funkcji i decydował, które są mu naprawdę potrzebne, aby pracował wydajnie i bez błędów.

Alan odsunął się od ekranu, patrząc na złowrogą biel liter, które paliły mu oczy. Wciąż nie wiedział, kto pisał te artykuły – zbuntowani naukowcy? Zaginieni inżynierowie? Ricko wspominał kiedyś, że Korporacja nie kasuje danych, tylko je ukrywa.

Jednak to, co wiedział na pewno, to że nie mógł już przestać czytać.

Ukryta prawda

Alan nie potrafił oderwać wzroku od ekranu. Tekst był dłuższy niż się spodziewał, i wciągał go coraz głębiej, jak tunel, którego końca nie widać. Sposób, w jaki został napisany – chłodny, rzeczowy, niemal akademicki – budził niepokój. Nie było w nim cienia emocji, a mimo to każde zdanie zdawało się pulsować ukrytą grozą.

Przewinął dalej.

Ewolucja zastosowań

Początkowo roboty amoryczne miały ograniczone przeznaczenie. Były narzędziem resocjalizacji, testowanym w kontrolowanych warunkach więzień Ziemi-1. Eksperyment uznano za sukces. Uspokojeni, przewidywalni więźniowie, mniej incydentów, więcej posłuszeństwa. Dla zarządców – ideał.

Ale świat nie zatrzymuje się na jednym zastosowaniu.

Z czasem stały się przedmiotem badań w dziedzinie psychoterapii, medycyny, a nawet nauk behawioralnych. Wdrożenie ich w kompleksach górniczych Ziemi-2 uzasadniano badaniami, które miały wykazać ich wpływ na stabilność psychiczną izolowanych pracowników. Korporacja sfinansowała wielomilionowe projekty badawcze, jednak dostęp do pełnych wyników pozostał... zastrzeżony.

Alan przełknął ślinę. To nie było nic nowego – Korporacja gromadziła dane, przetwarzała, selekcjonowała informacje, ale nigdy nie dzieliła się tym, co naprawdę istotne.

Przewinął dalej.

Na ekranie pojawił się nowy akapit.

Nie wszyscy górnicy przyjęli roboty w ich oryginalnej formie. Z czasem powstała nielegalna społeczność, która zaczęła modyfikować oprogramowanie i sprzęt. Tworzono alternatywne wersje interfejsów, omijano zabezpieczenia, dostosowywano funkcje do indywidualnych potrzeb. Wymieniano się schematami, kodami, całymi osobowościami.

Najpopularniejszy trend?

Wgrywanie wzorców psychicznych bazujących na zmarłych bliskich lub postaciach fikcyjnych.

Alan poczuł, jak coś ściska go w żołądku.

To nie były już zwykłe roboty. To były cyfrowe duchy. Symulacje relacji, które nigdy nie istniały. Repliki tych, którzy odeszli, ale których nie pozwolono opłakiwać. Nieistniejące matki, które mówiły łagodnym głosem. Ukochane, które nigdy nie zdradzały. Przyjaciele, którzy nigdy nie odwracali się plecami. Idealne kopie ludzkich postaci. Posłuszne i żywe – ale jednak martwe.

Samotność, zapisana w kodzie.

Alan zamrugał. Spojówki paliły go niemiłosiernie. Gardło miał suche jak popiół z powodu przefiltrowanego powietrza, w którym nie było ani jednej chaotycznie tańczącej molekuly wody.

Wśród jego współpracowników były osoby posiadające roboty. O tym wiedział. Ale o tych modyfikacjach...?

Czy Ricko, ten sam haker, który podał mu kod deszyfrujący, miał z tym coś wspólnego?

A jeśli tak, to co jeszcze przed nim ukrywał?

Kontrowersje i skutki uboczne

Korporacja oficjalnie potępiała nielegalne modyfikacje robotów. Publiczne oświadczenia nie pozostawiały wątpliwości – jakiegokolwiek zmiany w oprogramowaniu czy ingerencji w systemy maszyn były surowo zabronione. Ale Alan wiedział, że to tylko gra pozorów.

Wewnętrzne raporty mówiły coś zupełnie innego.

Według dokumentów, do których udało się dotrzeć hakerom, Korporacja od lat była świadoma skali procederu. Co więcej – świadomie przymykała na niego oko. Pozwalała górnikom-hakerom eksperymentować, testować i dostosowywać technologię do własnych potrzeb. Im bardziej górnicy przywiązywali się do maszyn, tym mniej myśleli o ucieczce, buncie, protestach.

To był eksperyment.

A jednak nie wszystko poszło zgodnie z planem.

Nieprzewidziane efekty uboczne zaczęły się objawiać stopniowo – na początku niemal niezauważalne. Górnicy, którzy spędzali z robotami coraz więcej czasu, tracili zdolność nawiązywania relacji z ludźmi. Zaczęli unikać rozmów, kontaktów, a w końcu i siebie nawzajem. Na korytarzach zapadła cisza, baraki opustoszały, a w raportach psychologicznych coraz częściej pojawiało się jedno słowo: „apatia”.

Alan wciągnął gwałtownie powietrze, jakby próbował powstrzymać nadciągającą falę niepokoju i drżenie napiętych mięśni.

Wiedział, że ludzie wokół niego się zmieniali, ale teraz... Teraz widział mechanizm, który za tym stał.

Przewinął ekran i natrafił na nową sekcję.

Lista celebrytek, które podpisały kontrakty na udostępnienie swojego wizerunku.

Przesunął wzrokiem po nazwiskach – niektóre nic mu nie mówiły, inne kojarzył z dawno zapomnianych filmów. Ale wśród nich widniały prawdziwe ikony: Marilyn Monroe, Audrey Hepburn.

Alan zmarszczył brwi.

To było niemożliwe. Przecież one... one nie żyły od ponad 100 lat.

Odpowiedź znalazł w kolejnym akapicie. Korporacja wykupiła prawa do ich wizerunków od firm prawnych, które od dziesięcioleci handlowały spuścizną gwiazd. Monroe, Hepburn – nie były już ludźmi, lecz własnością intelektualną, szeregiem dokumentów prawnych i linijkami kodu, które można było sprzedawać i odtwarzać bez końca.

Ale to nie było jeszcze najdziwniejsze.

Na liście znalazły się też nazwiska oznaczone jako „**Wzorowane na osobach historycznych**”. Kleopatra. Mesalina. Kobiety, o których od wieków krążyły legendy – teraz dostępne w katalogu, zaprogramowane według potrzeb klientów tego cyfrowego jarmarku cudów.

Ucisk w żołądku Alana zmienił się w lodowaty ciężar, który powoli rozlewał się po jego wnętrzu.

Zamknął encyklopedię i odsunął się od terminala. Myśli kotłowały mu w głowie, a adrenalina kazała działać. Znaleźć Johna, porozmawiać z nim jeszcze raz i dowiedzieć się więcej.

Tylko że to nie było takie proste.

Korporacja nie tolerowała podejrzanych spotkań poza godzinami pracy. A pytania mogły kosztować go więcej niż był gotów zapłacić.

Musiał działać sam.

Ukryta ironia i nasiona buntu

Paradoks był boleśnie oczywisty.

Na Ziemi-1 roboty amoryczne były przeznaczone dla najbardziej brutalnych przestępców – gwałcicieli, recydywistów, ludzi, których agresja nie pozwalała na resocjalizację w tradycyjny sposób. Na Ziemi-2 stały się jednak elementem codzienności, oficjalnie służącym dbałości o **zdrowie emocjonalne** górników.

Troska?

Alan już wiedział, że to tylko fasada.

To, co Korporacja przedstawiała jako humanitarną inicjatywę, było częścią skrupulatnie zaplanowanego systemu kontroli.

Otworzył kolejny plik w Wolnej Encyklopedii Ziemi-2 i natrafił na fragment, który utkwił mu w pamięci:

„Nieoficjalne badania przeprowadzone na populacji górników wskazują na niepokojąco wysoki odsetek bezpłodności, którego przyczyny nie są jednoznacznie wyjaśnione. Z kolei średni czas potrzebny na ukończenie kontraktu i możliwość uzyskania pełnej niezależności finansowej wynosi od 15 do 20 lat, co w wielu przypadkach uniemożliwia pracownikom rozpoczęcie nowego życia przed końcem ich najproduktywniejszego wieku biologicznego.”

Alan poczuł, jak coś w nim pęka.

Długi kontrakt. Ściśle kontrolowane warunki życia. Obietnice nowych perspektyw – piękne, kuszące, ale nigdy niezrealizowane. To nie była praca. To była forma niewoli, **doskonalsza i bardziej wyrafinowana** niż system mandatów i więziennictwo na Ziemi-1. Górnicy byli wolni tylko z nazwy – w rzeczywistości funkcjonowali w zamkniętym układzie, który odbierał im szansę na wyrwanie się z tego świata.

Przewinął ekran.

W ciemnych zakamarkach ernetu Ziemi-2 zaczynało wrzeć. Kolejne anonimowe wpisy od górników, którzy **zrozumieli**, czym naprawdę jest ich sytuacja. **Korporacja sprzedawała im złudzenia**, a oni przez lata wierzyli w miraż dobrobytu, który nigdy nie nadejdzie.

„Nie jesteśmy tutaj dla siebie ani dla swoich rodzin. Jesteśmy tutaj dla Korporacji. Nasze życia, zdrowie, a nawet marzenia zostały sprzedane za garść kredytów i obietnice, których nigdy nie spełnią. To nie jest nowe życie – to dobrze zaprojektowane więzienie. Musimy zacząć działać, zanim stracimy wszystko, co nam zostało.”

Alan odchylił się w fotelu, czując, jak napięcie ściska go w karku.

Słowa wibrowały mu w głowie, uderzając w niego niczym nieustępliwy rytm.

To było niebezpieczne. Zbyt niebezpieczne. A jednak... nie mógł się cofnąć.

Korporacja miała oczy i uszy wszędzie. **Monitorowała każdy przejaw buntu**, każdy ślad oporu. Ale Alan czuł, że przekroczył punkt, z którego nie ma powrotu. Górnicy byli zmęczeni, rozczarowani, coraz bardziej świadomi.

Coś musiało się zmienić. Pytanie nie brzmiało już „czy”, lecz „kiedy” zapłonie pierwsza iskra?

Pierwsze kroki do rebelii

Alan zanurzał się coraz głębiej w ernet Ziemi-2, przeszukując kolejne warstwy zaszyfrowanych forów. Szukał nie tylko informacji, ale **ludzi** – tych, którzy rozumieli, że coś jest nie tak.

Nie musiał długo czekać na pierwszy ślad.

Była już siatka oporu. Nieformalna, rozproszona, ukryta w gąszczu zaszyfrowanych komunikatów. Hakerzy systemów informatycznych Korporacji wymieniali się zaszyfrowanymi komunikatami, organizując **sabotaż** – od drobnych zakłóceń po ambitniejsze plany przejęcia infrastruktury kopalni.

Alan szybko trafił na Ewę.

Nie znał jej prawdziwego imienia, jedynie nick i kilka krótkich wiadomości, które brzmiały bardziej jak ostrzeżenia niż zaproszenie do rozmowy. Była jedną z tych, którzy **nie chcieli czekać**. Planowała ucieczkę. Miała kontakty, wiedziała, gdzie szukać słabych punktów Korporacji. **Miała plan**.

Alan stanął przed decyzją – mógł do niej dołączyć, ale to oznaczało ryzyko, którego nie mógł w pełni przewidzieć.

Decyzja była jak skok w przepaść.

Zostać? Oznaczało to duszenie się w pułapce pozornej wolności, która ostatecznie złamałaby jego ducha. **Bunt?** Korporacja nie przebaczała. Przykładowe kary były brutalne, a obozy resocjalizacyjne na Ziemi-2 miały reputację gorszą niż więzienia na Ziemi-1.

Ale każda godzina spędzona w kopalni, każda kolejna zmiana wśród robotów o twarzach, które nie były ludzkie, przekonywały go, że **prawda nie daje wyboru**.

Faktem było, że obietnice Korporacji były jedynie kłamstwami, mającymi na celu utrzymanie władzy.

Jeśli chcieli mieć przyszłość – musieli ją **ukraść**.

W kolonii Nowej Wolności

Alan i Ewa podjęli decyzję tej samej nocy. Decyzję o ucieczce.

Rozmowa ze starym górnikiem, Johnem, była ostatnim kamieniem, który pociągnął lawinę zdarzeń. W kompleksie górniczym życie było jak łagodne, lecz niekończące się umieranie – dzień po dniu, oddech po oddechu, tona skalnego gruzu po tonie. Pracować w niewoli przez czterdzieści lat za mglistą obietnicę wolności? Tego było za wiele. Zwłaszcza że, podobnie jak John, oboje zostali uznani za bezpłodnych. Czasem myśleli, że to kara. A czasem – że to był wyrok.

Ale prawda, którą odkryli po ucieczce, okazała się znacznie mroczniejsza niż przypuszczali.

W kolonii, gdzie schronienie znajdowali zbiegli górnicy, życie nie przypominało opowieści Korporacji o „krwiożerczych rebeliantach”. Zamiast bandy dzikich i krwiożerczych rebeliantów, natknęli się na ludzi – zmęczonych, ale wciąż walczących o przetrwanie.

Grzyby porastające ściany jaskiń były ich codziennym pożywieniem, a złoto – cennym materiałem wykorzystywanym do produkcji narzędzi. Społeczność liczyła dwieście osób, a jej niekwestionowanym przywódcą był Wrin Metuzalech. Był potomkiem pierwszego

buntownika, który sprzeciwił się Korporacji i zbiegł w mrok tuneli, gdy uznano, że lepiej będzie, jeśli przestanie istnieć.

Zasady obozu buntowników były surowe, ale niepodważalne – jak nieubłagane prawa natury

Pierwsza: *życzliwość wobec Twoich braci i siostr jest obowiązkiem każdego.*

Druga: *poliamoria wzmacnia naszą pulę genową i odporność.*

Kobiety decydowały o wyborze partnerów i przyszłości potomstwa, kierując się interesem społeczności. Dzieci wychowywano wspólnie, bez podziałów i zazdrości.

Alan i Ewa szybko dowiedzieli się, że szczepienia przeciw ospie, które Korporacja narzuciła wszystkim górnikom przed opuszczeniem Ziemi, mogły wpływać na płodność. Jednak w kolonii zaczęły krążyć mroczne podejrzenia. Korporacja fałszowała dane o zdrowiu górników. Kontrola populacji? Może. A może coś bardziej złowrogiego – cicha eliminacja. Mówiono, że nowy szczep wirusa ospy sprowadzano w transportach Korporacji, by wytruć niezaszczepionych buntowników.

Rząd Światowy? Jeśli nie wiedział, to znaczy, że nie chciał wiedzieć.

Wcześniej nowe transporty przybywały sporadycznie. Teraz – trzydzieści tysięcy ludzi miesięcznie. Tłum do pracy. Mięso do przerobienia. Kolonia musiała walczyć, by nie zostać zmieciona w tej wielkiej migracji żywych i martwych.

Nie było leków. Izolacja chorych była brutalna, a technologia – ledwie tliła się w ruinach porzuconych kompleksów. Ale Alan i Ewa nie zamierzali wracać. Bo tam, skąd uciekli, byli tylko trybami w maszynie Korporacji. Liczbami w rejestrze. Niewolnikami systemu, który wyznaczał ich wartość na podstawie wydobytych ton rudy i samorodków złota przekazanych do depozytu.

I wtedy odkryli prawdę, która wszystko zmieniała.

Byli płodni. Mogli mieć dzieci – coś, co miało być dla nich zakazane za ogrodzeniem Korporacji.

Całe to kłamstwo – testy medyczne, zimne raporty, wytyczne „poprawy warunków pracy” – miało jeden cel. Kontrola. Zakaz związków. Nakaz korzystania z robotów amorycznych. To nie była biurokracja. To było planowanie populacji w najbardziej dosłownym znaczeniu tego słowa.

A teraz wiedzieli prawdę.

W rodzinie buntowników Alan i Ewa znaleźli nie tylko nowych przyjaciół i normalność, ale i sens walki.

To była dopiero zapowiedź walki, która miała zmienić wszystko.

